

Przegląd Wileński

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM KRAJOWYM

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:

Wilno, Sierakowskiego № 21 m. 6.

Czynne od g. 12 — 2 prócz świąt.

CENA OGŁOSZEŃ: 1/1 strona — 80 zł.

1/2 " — 40 "

1/4 " — 20 "

1/8 " — 10 "

Prenumerata kwartalna wynosi 1 zł. 50 gr.

Więcej myśli, mniej paplaniny!

P. Adolf Nowaczyński nie jest poważnym publicystą, wywierającym wpływ na opinię publiczną ani też odzwierciedlającym poglądy sfer miarodajnych. W swych stylistycznych i językowych łamańcach jest raczej wyrazicielem nastrojów szerokich sfer inteligencji polskiej, usposobionej opozycyjnie, jeżeli chodzi o politykę wewnętrzną, lecz przeważnie jednomyślniej z obozem rządowym w tych sprawach, w których może mieć zastosowanie nacjonalistyczny punkt widzenia.

Kiedy więc p. Nowaczyński na szpaltach „ABC”, z powodu nieudzielenia przez rząd litewski pozwolenia na wjazd do Kowna prof. Szymańskiemu, zaleca „ochłonięcie ze strzelistych efektów” i „odwrócenie się tyłem” do Litwy i całkiem serjo powiada, że „niema się co cackać i przymilać i schlebiać”, to głos ten możemy traktować, jako wierne odbicie zapatrywań interesującego się zagadnieniami politycznymi inteligentnego ogółu polskiego.

Najwidoczniej w warszawskim środowisku politycznym istotnie panuje przeświadczenie, że Polacy poczynili Litwie takie awanse i tyle wykazali względem niej kurtuazji, że dalsze kroki w tym kierunku — wobec chłodnej i nieprzejednanej postawy Kowna — byłyby już dowodem braku wszelkiej ambicji i poczucia własnej godności.

Nie należy się temu zbyt dziwić, gdyż płytkie i zdawkowe ujmowanie trudnych i skomplikowanych problemów życiowych jest cechą charakterystyczną Warszawy.

Taki p. Nowaczyński jest święcie przekonany, że wizyty kilku dziennikarzy polskich w Litwie i ich przychylnie relacje o rozwoju litewskiego życia państwowego i kulturalnego są tak doniosłym posunięciem, że mogą i powinny dać pełną satysfakcję Li-

twinom za wszystkie uprzednie uchybienia ze strony polskiej i załagodzić dotychczasowe nieporozumienie.

To naiwne traktowanie historycznego zatargu polsko-litewskiego pod kątem widzenia towarzysko-kawiarnianym jest wprost rozbrajające.

Nie zatrzymalibyśmy się na humorystycznym wystąpieniu p. Nowaczyńskiego, gdyby było ono odosobnionym popisem szukającego łatwych tematów błyskotliwego feljetonisty. Ale tak jak p. Nowaczyński myślą w Polsce setki i tysiące. Nawet zawodowi politycy sądzą, że spór o Wilno może z czasem rozplynać się w rozgwarze towarzysko-sąsiedzkich uprzejmości.

Zaledwie zrzadka w publicystyce polskiej można się spotkać z poważnym podejściem do kwestji wileńskiej i należytą oceną jej znaczenia dla uregulowania stosunków polsko-litewskich. Taniemi dowcipami i porównaniami pretensyj litewskich do Wilna z prawami Greków do Nicei, sprawy się naprzód nie posunie.

Czas już wielki zrozumieć, że nie chodzi w obecnym zatargu tylko o Wilno, w którym istotnie element etnicznie litewski odgrywa obecnie nieznaczną rolę, ale o całą Wileńszczyznę, związaną organicznie z terytorjum państwa litewskiego i posiadającą spory odsetek ludności, nie wynarodowionej nawet językowo. Czas już zrozumieć, że dążenie Litwinów do odzyskania Wilna nie jest tylko fantazją romantyczną, nie jest nawet odruchem uczucia narodowego, lecz jest nakazem polityki państwowej, opartej o tradycje dziejowe, sięgające czasów Witolda Wielkiego.

Jest rzeczą całkiem naturalną, jeśli ze strony polskiej są wysuwane kontrargumenty: znaczenie Wileńszczyzny dla państwa polskiego, jako terenu połączenia bezpośredniego z Łotwą, względnie z krajami Nadbałtyckimi, rola Wilna w rozwoju kultury polskiej, liczny żywioł polsko-białoruski, jaki z biegiem czasu opanował niegdyś etnograficzną ziemię

litewską i t. p. Zestawienie tych wzajemnych praw i uroszczeń wytwarza właśnie tragiczny konflikt, którego rozwiązanie nie jest ani łatwe, ani proste.

W naszym najgłębszym przekonaniu, któremu niejednokrotnie dawaliśmy wyraz, konflikt ten może być rozstrzygnięty jedynie w drodze obustronnych ustępstw i kompromisu. Szukanie takiego wyjścia, chociażby na razie, być może, nie dałoby wyników pozytywnych, niewątpliwie jest zajęciem twórczym. Natomiast są zwykłym przelewaniem z pustego w próżne wszelkie deklamacje i rozważania, w których kwestja wileńska jest traktowana *per non est*.

Nie zniknie ona bowiem z widowni nawet w tym wypadku, jeżeli wizyty obywateli polskich w Kownie nie będą napotykały na żadne przeszkody i staną się zjawiskiem codziennym.

Towarzystwo Szkoły Białoruskiej na ławie oskarżonych.

D. 4 lutego po północy zakończył się w Wilnie trwający przez dwa dni wielki proces Towarzystwa Szkoły Białoruskiej, mający wybitnie polityczny charakter. Na ławie oskarżonych zasiedli członkowie głównego zarządu: adwokat Feliks Steckiewicz, znany w Wilnie kierownik chórów białoruskich i działacz społeczny Grzegorz Szyrma, były nauczyciel Gimnazjum Białoruskiego w Wilnie Pietkiewicz oraz 3-ch innych Białorusinów spośród młodzieży, z których paru tylko czasowo pełniło funkcje w zarządzie w zastępstwie aresztowanych wyżej wspomnianych osób.

Obszerny akt oskarżenia o 40 stronach druku maszynowego, zarzucał oskarżonym wywrotową działalność o charakterze komunistycznym, oraz pobieranie sum pieniężnych, nasuwających podejrzenie, iż pochodzą one od organizacji komunistycznych. Za podstawę oskarżenia posłużyły prokuratorowi między innymi głosy prasy komunistycznej w Sowieciech oraz czasopisma białoruskiego wychodzącego w Berlinie p. t. „Barańba”. Prasa ta bardzo często

wykorzystywała nieprzychylny stosunek polskich władz administracyjnych do T-wa i stawiała w jego obronie w celach propagandy i pogłębienia niezadowolenia z polityki narodowościowej w Polsce.

Świadkowie oskarżenia nie szczędził ciężkich zarzutów pod adresem członków zarządu głównego, natomiast świadkowie ze strony obrony twierdzili zgodnie, że Towarzystwo Szkoły Białoruskiej jest placówką kulturalno-oświatową i że jej zarząd wileński nie uprawia żadnej polityki. Odmalowali oni w ciemnych kolorach stosunek władz do szkolnictwa białoruskiego oraz stopniową likwidację tego szkolnictwa.

Obroncy oskarżonych członków zarządu w osobach adwokatów Petruszewicza i Zasztowt Sukienickiej udowodniali, iż Towarzystwo Szkoły Białoruskiej jest placówką wyłącznie kulturalno-oświatową, położyło zasługi na polu oświatowym i jeżeli mogły zdarzyć się wypadki, że element komunistyczny przenikał do niektórych kół wiejskich, było to przy wielkim rozroście organizacji zupełnie zrozumiałe i nieuniknione, gdyż komuniści usiłują wywierać swe wpływy w każdej tego rodzaju organizacji. Nie znaczy to jednak, że kierownictwo Towarzystwa, spoczywające w ręku trzech głównych oskarżonych ulegało tym wpływom lub korzystało z niedozwolonych środków materialnych.

Wszyscy oskarżeni do winy nie przyznali się.

D. 4 lutego zapadł wyrok Sądu Okręgowego w Wilnie, mocą którego wszyscy trzej członkowie zarządu zostali uniewinnieni, zaś oskarżeni Sako-wicz, Cerach i Skórko zostali skazani na więzienie od 2-ch do 3-ch lat.

Proces wzbudził ogromne zainteresowanie, chodziło bowiem o ustalenie czy istotnie Towarzystwo Szkoły Białoruskiej było kierowane przez czynniki zakulisowe, nie mające nic wspólnego z zadaniami T-wa, czy też jest ono placówką odpowiadającą swojej nazwie.

Jeżeli się zważy, że skazani w tym procesie brali niewielki i przez czas krótki udział w pracach Towarzystwa i zostali objęci wspólnym aktem oskarżenia w sposób dość sztuczny, zaś czynni członkowie zarządu głównego zostali całkiem uniewinnieni — staje się jasnym, że cała kampanja, oddawna pro-

STANISŁAW STANKIEWICZ

„Szkoła białoruska“ w polskiej literaturze romantycznej.

I.

„Szkoła białoruska“ w romantycznej literaturze polskiej zazwyczaj nazywają krytycy tę gałąź literatury polskiej pierwszej połowy XIX w., która się zrodziła i dojrzała na ziemiach etnograficznie białoruskich i zarówno swoją treścią, jak przeważającymi w niej motywami, jest z temi ziemiami organicznie związana. Kierunek ten posiada znaczenie zarówno dla całokształtu literatury polskiej, jak też i dla odrodzonej literatury białoruskiej, która w znacznym stopniu zawdzięcza mu swoją genezę.

W stosunkowo szczupłej literaturze naukowej, traktującej specjalnie motywy białoruskie w polskiej poezji romantycznej, niema dotychczas szerszych i gruntowniejszych opracowań, któreby dotyczyły całokształtu zagadnienia. A szkoda. Wszak twórczość literacka, rozwijająca się na naszych ziemiach w pier-

wszej połowie XIX w., dzięki swemu wybitnie lokalnemu zabarwieniu oraz roli, jaką odegrała zarówno w romantyzmie polskim jak i w odradzającym się piśmiennictwie białoruskim, zewszecmiar zasługuje na uwagę.

Gdy chodzi o najbardziej dokładne zrozumienie ducha literatury krajowej, osnutej na motywach białoruskich, musimy przedewszystkiem zdać sobie sprawę z tego, jak zapatrywali się na nią współcześni, w pierwszym rzędzie sami jej reprezentanci. To też przedmiotem niniejszego szkicu będzie zwrócenie uwagi na ważniejsze artykuły i rozprawki, tudzież uwagi pomniejsze poszczególnych poetów i pisarzy polsko-białoruskich o istocie i zadaniach uprawianej przez nich literatury. „Szkoła białoruska“ nie miała swoich współczesnych teoretyków takiej miary, jak Michała Grabowskiego „Szkoła ukraińska”. To, co miało nadawać ogólny ton literaturze szkoły białoruskiej i wykreślać linje wytyczne jej rozwoju, w główniejszych zarysach znajdowało wyraz w luźnych i przygodnych artykułach, zamieszczanych w czasopismach krajowych, korespondencji literac-

wadzona przeciwko T. S. B. była typową robotą nacjonalistów polskich, zwalczających wszelkimi środkami szkolnictwo białoruskie. Wystarczy przeczytać same tytuły w „Słowie” i „Dzienniku Wileńskim” o przebiegu procesu, by stwierdzić, jakimi środkami zwalczą się u nas niemiłe nacjonalistom organizacje niepolskie.

Jest rzeczą oddawna znaną, że ruch białoruski, w skutek realizacji sowieckiej polityki narodowościowej, polegającej na forsowaniu języka mas ludowych w swoich republikach oraz z powodu braku u Białorusinów zamożnej klasy mieszczańskiej, przybrał swoiste formy, polegające na daleko idącym radykalizmie. Ponieważ radykalizm ten i rosnące poczucie odrębności narodowej bolszewicy umiejętnie przeciwstawili nienormalnej polityce narodowościowej w Polsce—stosunki na białoruskich ziemiach w granicach państwa polskiego ułożyły się w ten sposób, że inteligencja białoruska, nadająca ton życiu politycznemu, w większości swojej ustosunkowując się negatywnie do samego ustroju sowieckiego, przygląda się z zaciekawieniem i przychylnością zdobyczom kulturalnym w Białorusi Sowieckiej. Takie nastawienie Białorusinów w Polsce, daje powód elementom niechętnym i wrogim do oskarżania ich o nielojalność względem Polski. Każde niemal czasopismo, organizacja białoruska, nie wyłączając klerikalnych, stoją zawsze pod zarzutem dążeń wyrotowych, ponieważ taki zarzut pochodzący najczęściej ze strony polskich nacjonalistów musi doprowadzić do szukania dziury w całym, stosowania represyj i wytaczania procesów politycznych.

Losu tego nie mogło uniknąć oczywiście i Towarzystwo Szkoły Białoruskiej. Jako organizacja silnie rozrośnięta niepokoiła ona tych wszystkich, którzy eksterminację Białorusinów uważają u nas za kamień węgielny polityki narodowościowej, natomiast w sferach białoruskich, mimo ciągle panujących tam wąśni, nie było wypadku, by jakakolwiek grupa polityczna, lub osoba zwalczająca działalność T. S. B. Stanowisko takie będzie całkiem zrozumiałe, jeżeli się pokrótce zastanowić nad historją Towarzystwa.

Towarzystwo Szkoły Białoruskiej powstało w roku 1921 wysiłkiem działaczy białoruskich bez różnicy

przekonań politycznych, nie wyłączając księży. Nowy statut z roku 1926 rozszerzył działalność T-wa z jednego województwa wileńskiego na całe państwo. Cele były i pozostały wyłącznie kulturalno-oświatowe a mianowicie: zakładanie szkół, organizacja czytelni, bibliotek, domów ludowych, przedstawień i t. d. Wszystkie cztery istniejące niegdyś gimnazja białoruskie założone były przez T. S. B. i przeważnie jego kosztem egzystowały. Za czasów, gdy gimnazja te znajdowały się pod protektoratem T-wa, ukończyło je przeszło 200 osób, kształciło się zaś nagół około 3000.

Otwieranie przez T-wo powszechnych szkół białoruskich spotkało się z niezwykle przeszkodami. Wszelka inicjatywa w tym względzie jak T. S. B. tak i Białoruskiego Instytutu Gospodarki i Kultury była stale paraliżowana przez formalności w rodzaju żądania pełnych kwalifikacji nauczycielskich, świadectw prawomyślności, odpowiednich budynków szkolnych i t. d.

Z chwilą uchwalenia ustawy językowej z dnia 31 lipca 1924 r. T-wo rozpoczęło niezwykle ożywioną akcję zbierania deklaracji z żądaniem otwierania białoruskich szkół powszechnych. Wyniki tej akcji są najbardziej zaszczytną szatą w historii T. S. B. Według danych T wa w r. 1926 do władz szkolnych wpłynęło z powiatów białoruskich 9407 deklaracji z podpisami rodziców, obejmujących 13809 dzieci. W rzeczywistości jednak wpłynęło tych deklaracji znacznie więcej, ponieważ nie wszyscy ubiegający się o szkołę białoruską zawiadamiali o tem T-wo. Deklaracje szkolne cieszyły się taką popularnością, że zaczęto je... fałszować. Mianowicie, ukazały się blankiety deklaracji w języku białoruskim z żądaniem szkoły w języku państwowym, obrachowane na to, że podpisujący nie zorientuje się o co chodzi. Na taką wędkę próbowano łapać wieśniaków, a co dziwniejsze metod tych używało nauczycielstwo polskie. (Wieś Żuchowicze pow. stołpeckiego). Sprawa ta w swoim czasie oparła się o Sejm. Jak wiadomo, starania T wa o pokrycie kraju siecią szkół białoruskich spełzły na niczem prawie. Wprawdzie władze szkolne otworzyły na własną rękę około 20 szkół białoruskich i około 40 utrakwistycznych, poprowa-

kiej, oraz w notatkach i uwagach zawartych we wstępach do niektórych zbiorów poezyj.

Zwrot, polegający na zużytkowaniu w twórczości literackiej motywów białoruskich, powstał pod wpływem romantyzmu, który do wszystkich dziedzin życia umysłowego, w pierwszym rzędzie literatury, wniósł nowe idee i upodobania¹⁾ W znacznym też stopniu działały w tym kierunku prądy społeczno-polityczne, nurtujące naówczas wśród inteligencji krajowej²⁾. Ideologia szkoły białoruskiej była zasadniczo ta sama, co i ideologia szkoły ukraińskiej. Najbardziej trafne określenie ducha i charakteru szkoły ukraińskiej podał *Michał Grabowski*, mówiąc, że „Prawa polskich poetów do stanowienia osobnej szkoły zasadzają się nie na tem, że obierają na treść swoich utworów przedmioty z historii tej ziemi, ale raczej, że przejmują całkiem duch i barwę właściwej

poezji ukraińskiej... polscy poeci ukraińscy przejęli tę właściwość szczerze, unarodowili ją sobie, rozumieją ją głęboko, bo jest dla wszystkich domową dla wielu rodziną... Nadto ci poeci nie poprzestają na pożyczaniu ozdóbek w poezji ukraińskiej, oni sami rozwikływają dalej poetyczność tych miejsc i obyczajów, idą za bytem tej ziemi i losami tego ludu w rozmaitych czasach i rozlicznych stosunkach ich historyczności i w każdym z takowych dostrzegają jego poetyckiej fizjognomji; na miejscu gdzie zastali tylko pieśni gminne, budują epopeję i romans³⁾. To określenie Grabowskiego możemy zastosować i do poetów szkoły białoruskiej bez najmniejszej ujemy dla prawdy. Wszak i poeci szkoły białoruskiej, jak zobaczymy później, dążyli, za pośrednictwem zużytkowania twórczości ludowej i wydawnictwa charakteru kraju, do ujawniania najbardziej narodowych cech Białorusi w swojej twórczości.

¹⁾ W. R. Wegnerowicz: „Młoda Białoruś”, „Świat Słowański”, t. I, 1912, str. 4.

²⁾ J. Gołąbek: „Wincenty Dunin-Marcinkiewicz”, Wilno 1932, str. 6 i 13.

³⁾ M. Grabowski: „Literatura i krytyka”, Wilno 1840, t. I, str. 38—39.

dzono jednak te szkoły w ten sposób, że dziś już o nich nic nie słychać.

Poza akcją szkolną T. S. B. założyło dużo czytelni, bibliotek i budowało własne budynki dla domów ludowych.

W latach swego największego rozwoju posiadało T. S. B. około 20.000 członków. Ponieważ była to placówka zasłużona i wpływowa, jest rzeczą zrozumiałą, że niektóre partje polityczne oraz czynniki komunizujące zawsze starały się mieć swoich ludzi w Towarzystwie Szkoły Białoruskiej. To wszystko dawało doskonały pretekst władzom do ingerencji w życie tej organizacji i paraliżowania jej działalności. Epilogiem tej ingerencji jest właśnie ostatni proces sądowy. Ponad oczekiwania osób nieżyczliwych T. S. B. i wbrew stanowisku prokuratora, ujawnił on, że kierownictwo Towarzystwa Szkoły Białoruskiej spoczywało w ręku ludzi nie zaangażowanych w robotę komunistyczną. Jeżeli jednak obok członków zarządu głównego posadzone na ławie oskarżonych jednostki nie grające wybitnej roli w życiu T. S. B., lub nawet osoby nie wspólne nie mające z powyższą organizacją (Skórko), to jeszcze nie znaczy by ona była pod wpływem tych ostatnich. Wyrok uniewinniający czołowe jednostki z zarządu potwierdza apolityczność T. S. B., oczyszcza je z niesłusznych zarzutów i daje możność skierować je na dalszą drogę rozwojową pod sztandarem oświaty ludu.

Towarzystwo Szkoły Białoruskiej przeżyło ciężkie koleje losu, wykazało jednak podziwu godną żywotność. Ostatnimi czasy, dzięki bardziej tolerancyjnemu ustosunkowaniu się wojewody białostockiego, w pracy T. S. B. na terenie województwa białostockiego znowu daje się zauważyć niemałe ożywienie. Trzeba oczekiwać, że po wyroku ostatnim, zlikwidowane i zmuszone do konspiracji koła T. S. B. i w innych województwach potrafią wznowić pracę w ramach statutu. Trzeba tylko, by zarząd główny potrafił pokierować tą pracą a społeczeństwo białoruskie bez różnicy przekonań politycznych i nadal zachowało przychylny stosunek do zasłużonej białoruskiej placówki. Najważniejszą jednak rzeczą jest nietamowanie pracy T. S. B. ze strony władz administracyjnych. Prześladowania i szykany administra-

cyjne bowiem zmuszają do konspiracji, która wytwarza atmosferę sprzyjającą wpływom komunistycznym.

S-wicz.

Idea niepodległościowa w poezji białoruskiej.

(Dokończenie).

Jak już zaznaczyliśmy powyżej, nastroje niepodległościowe u „naszaniwców“ krystalizowały się w miarę tego, jak w społeczeństwie białoruskiem dojrzewała i przybierała coraz bardziej konkretne formy idea niepodległości Białorusi. To też poszczególni poeci z grupy „Naszej Niwy“ (czy raczej: z okresu „Naszej Niwy“) uświadamiali sobie w zupełności ideał ogólnonarodowy dopiero na samym końcu swej drogi twórczej. Inaczej się rzecz miała u pokolenia następnego — młodszego, u epigonów „Naszej Niwy“. Przyszli oni, rzecz można, na gotowe — w chwili, gdy ideał niepodległościowy przyświecał już całemu społeczeństwu. Nie przechodzili okresu mozolnego szukania. I ośnieni, oczarowani tą ideą, którą poprzednicy ich wykuwali z takim mozolem, śpiewając jej hymny natchnione, wynoszą ją na wyżyny niebiosiężne, biją przed nią pokłony.

Oto dwaj poeci, u których początek twórczości nienadługo poprzedza lub bezpośrednio zlewa się z momentem proklamowania w Mińsku niepodległości Białorusi: Lawon Rodziewicz i Wł. Żyłka. Imiona ich najbardziej zasługują na uwagę z szeregu ich rówieśników.

Rodziewicz ogłosił drukiem swój poemacik „Białoruś“ dopiero w 1922 roku (Wilno), lecz z treści utworu widać, iż napisany być musiał wkrótce po akcie 25 marca 1918 roku. Białoruś naprawdę podówczas na krótką chwilę z martwych powstała, jako państwo niepodległe. I poeta zwraca się do niej, jak do żywej istoty, i z całą stanowczością wypowiada zdecydowaną wolę jej synów złożyć swe życie w ofierze zbudzonej z letargu Ojczyźnie. A bezpośrednio po tem daje symboliczny obraz walki na-

Oddziaływanie pierwiastków białoruskich na literaturę polską rozpoczyna się w drugim dziesiątku lat XIX w. Na polu zaś krytyki zwrot ten zaczyna dopiero się uwydatniać bezpośrednio po roku 1840. Zabierający głos na temat szkoły białoruskiej wychodzili z punktu widzenia pojęć romantycznych i zwracali swoją uwagę w pierwszym rzędzie na białoruską poezję ludową, upatrując w niej głęboką poetyczność i ukryte pierwiastki pojęć pogańskich. Również żywo interesowali się językiem białoruskim, podziwiając jego dźwięczność i melodyjność oraz zachęcając do pisania w nim utworów poetyckich. Dopiero na tem tle były później omawiane i kwestje literatury artystycznej, zrodzonej na podłożu białoruskim, w której wszyscy bez wyjątku pragnęli widzieć cechy narodowe Białorusi. Wobec tego, że uwagi o poezji ludowej i języku, jak wogóle o ludzie białoruskim, łączyły się naówczas bezpośrednio z literaturą artystyczną, wszystkie te zagadnienia potraktujemy tutaj razem. Czyniąc w ten sposób łatwiej będziemy mogli nakreślić całokształt zagadnienia szkoły białoruskiej, w której dominująca

odgrywała rolę kwestja ustosunkowania się literatury artystycznej do twórczości i pojęć ludowych.

Pierwszym autorem, który się zajął obszerniej ludem białoruskim i jego twórczością oraz wypowiedział na ten temat szereg ciekawych i trafnych uwag, był emigrant polityczny *Aleksander Rypiński*. Swoje uwagi i spostrzeżenia, zaczerpnięte jeszcze z czasów pobytu autora w rodzinnej Witebszczyźnie, zamieścił w książce, wydanej w Paryżu w r. 1840, p. t.: „*Białoruś, kilka słów o poezji prostego ludu tej naszej polskiej prowincji; o jego muzyce, śpiewie i tańcach etc.*“. Rozprawka ta przed wydrukowaniem była odczytana w dniu 21 listopada 1839 r. na posiedzeniu *Towarzystwa Literackiego Polskiego w Paryżu* i wzbudziła wśród emigrantów wielkie zainteresowanie a autorowi zjednała wyrazy uznania.

Książka Rypińskiego podzielona jest na szereg rozdziałów, w których omawia poszczególne rodzaje białoruskiej poezji ludowej, jak poezję religijną, żałobną, historyczną, pieśni weselne, robotnicze, kołychanek, taneczne, dożynkowe, przysłowia i przypowieści. Wkońcu omawia popularny na Białorusi

rodu białoruskiego o wolność, — walki prowadzonej pod odwiecznym znakiem Pogoni. Pod tym znakiem czeka Białoruś zwycięstwo. Tak wierzy poeta — i modli się do swego ideału, wzywa ukochaną ojczyznę: „Zerwij kajdany, przez obcych narzucone, bądź państwową — niepodległą!”

Włodzimierz Żyłka jest rówieśnikiem Rodziewicza, tylko bodaj bardziej utalentowanym, jako poeta. Łączy ich wspólnota ideałów, o czym najdobitniej świadczy fakt, iż Żyłka swój poemacik „Ujaŭleńnie“ (Wilno 1923) poświęca Rodziewiczowi. Utwór ten w zupełności potwierdza naszą tezę, iż nowe pokolenie budząc się narodowo i politycznie, doznawało jak gdyby olśnienia: na widok niepodległej Białorusi (choć tylko w świadomości narodu...) ogarnia ich wielka radość — „radość syna, który matkę swoją poznał”. Więc nie powinno być miejsca dla smutku na ziemi białoruskiej. Rośnie dusza od tej radosnej świadomości czegoś nowego, o czym się dawniej tylko śniło a co dziś się realizuje. Duch się odradza w narodzie, dając ręką i politycznego-państwowego odrodzenia Białorusi. I chociaż Europa w Wersalu pozostała głuchą na głos białoruski — głos Narodu — Chrystusa, Żyłka wierzy w świetlaną przyszłość niepodległej ojczyzny. — Takim samym duchem przepojone są również wiersze zbioru Żyłki „Na rostani”, wydany w Wilnie w 1924 roku.

Jeszcze bardziej ciekawym jest fakt, iż idea niepodległościowa znalazła swych gorących apologetów nie tylko w Zachodniej Białorusi, ale i — na Wschodzie. Nie będziemy tu dziś zastanawiali się nad pytaniem, jak w warunkach rzeczywistości sowieckiej mogło się to stać. Zaznaczamy fakt, opierając się na oświadczeniach, oddanej Stalinowi prasy sowieckiej, która „wykryła“ nawet wśród najmłodszego pokolenia poetów sowieckiej Białorusi, wychowanego w atmosferze czysto komunistycznej („Maładniak“), bardzo wyraźne tendencje niepodległościowe. W ciągu ostatnich kilku lat prasa urzędowa nie szczędzi najohydniejszych wyzwisk najwybitniejszym byłym członkom asocjacji poetów proletariackich „Maładniak“ — poetom tej miary, jak Duboŭka, Łużanin, Anatol Wolny, Aleś Dudar i wielu innych, szczyrych komunistów, lecz jednocześnie i niemniej szczyrych Białorusinów.

Najbardziej atakowanym przez „stalinowskich“ publicystów i krytyków literackich z ostatniej doby jest Maksim Łużanin. Jego „grzech niepodległościowy“ jest istotnie najcięższy. Władze komunistyczne nie mogą mu darować, iż w dzień obchodu dziesięciolecia proklamowania „niepodległej“ Białoruskiej Socjalistycznej Republiki, „dobrowolnie“ sfederowanej z innymi również „niepodległymi“ republikami w Z. S. S. R., Łużanin w napisanym ad hoc wierszu miał odwagę wypowiedzieć następujące zdanie:

My nia chcżam radaści witać,
Sztó czużymy dadżiena rukam!

czyniąc aluzję do tego, iż Rosja Sowiecka proklamowała ową „niepodległość“ B.S.S.R. jako przeciwagę aktowi z dnia 25 marca 1918 roku, dokonanemu przez samych Białorusinów...

Umyślnie podaliśmy tu *najjaskrawszy* przykład, jak głęboko wrosła idea niepodległości Białorusi w psychikę młodego pokolenia w Sowietach: zwalnia to nas od obowiązku referowania utworów innych poetów, ujawniających dążenia niepodległościowe. Zaznaczymy tylko, iż nawet ci poeci komunistów, których „stalinowcy“ uznają za najbardziej „prawowiernych“, — nawet oni, opiewając wyzwoloną z odwiecznej niewoli Białoruś (oczywiście Sowiecką), niedwuznacznie stwierdzają, iż jest to realizacja dawnych snów odrodzeniowców białoruskich: „za Ciebie zmahalisia *hadami*, żb Tabie *kaliści* śnili sny...” (Al. Zwonak). Więc nie z „Października“, nie z Internacjonau Komunistycznego wyrosła dzisiaj Białoruś. Marzą tylko daleki poeci sowieckiej Białorusi, by złąły się w jedną całość podzielone w Rydze części Białorusi, by wolnym stał się i „kraj, dzie Bielawieża“, i dopiero wówczas

„Suświet stanie Ajczynaj”.

Tylko wówczas. Tylko po zdobyciu wolności dla całej Białorusi.

* * *

Na zakończenie — kilka słów o najmłodszej generacji poetów Zachodniej Białorusi. Ponieważ poeci ci są względnie najbardziej znani na naszym terenie, przypomnimy tu tylko trzy imiona — najbardziej typowe: Chw. Iljaszewicz — syn miasta, wil-

utwór Barszczewskiego p. t. „*Rabunki muzykou*” oraz podaje niektóre uwagi o muzyce białoruskiej. Do białoruskiej poezji ludowej odnosi się Rypiński z uwielbieniem. Aczkolwiek nie dostrzega u ludu białoruskiego zbyt wielkiej muzykalności, o jego poezji odzywa się z głębokim uznaniem. Powiada on: „Jest w prostej jego myśli, w dziewiczej, naiwnej nocie jego piosnki, w jej przyrodzonych tonach jakaś nieznaną lubość, czarowna że tak powiem siła, która unosi serce i porywa, zachwyca, uroczy, samą nawet prostotą bawi umysł”⁴⁾. Rozprawa Rypińskiego ma dla rozwoju literatury szkoły białoruskiej wielkie znaczenie i zajmuje poważne miejsce w szeregu bezpośrednich uwag i spostrzeżeń współczesnych o ludzie białoruskim i jego poezji. Aczkolwiek praca ta jest powierzchowna i subiektywna, pozbawiona podstaw etnograficznych, zawiera jednak szereg trafnych uwag o folklorze białoruskim. Rypiński pierwszy podał omówienie całokształtu białoruskiej poezji ludowej i tem samym uprzystępniał jej

znajomość. Na każdej stronie uwidacznia się zachwyty i uwielbienie poezji ludowej i upatrywanie w niej cech narodowych kraju.

O ile pod względem potraktowania białoruskiej poezji ludowej Rypiński stanął na tem samym romantycznym stanowisku, jak'e zajęli jego następcy, o tyle pod względem swej ideologii różni się od nich zasadniczo i stoi zupełnie na uboczu od większości przedstawicieli szkoły białoruskiej. Inni poeci krajowi, nie poruszając zupełnie odrodzenia Białorusinów, ponieważ ta kwestja wówczas nie istniała i była wogóle przedwczesna, z całą świadomością głosili separatyzm kulturalny, dbając o rozwój piśmiennictwa krajowego nie tylko w języku polskim, ale i w białoruskim. Rypiński, jako powstaniec, znajdujący się na emigracji w podniesionej atmosferze patriotycznej, głosił asymilację ludu białoruskiego i swoją książkę poświęcił: *Pierwszemu z kmiotków białoruskich co się najprzód czytać, a zatem mówić i myśleć po polsku nauczycy*. Chce autor, ażeby lud białoruski przez oświatę złął w jedno ciało z żywiołem polskim. Nawet język białoruski naiwnie uważa

⁴⁾ str. 27.

nianin; Michał Maszara, urodzony pod wiejską strzechą słomianą i pracujący po dziś dzień na roli; A. Bartul, urodzony na terytorjum obecnej Republiki Łotewskiej. Inni (a jest ich sporo) są do nich podobni mniej lub więcej. Otóż i ci trzej tworzą „nową Białoruś”. I oni przyszłość świetlaną swej odczynny malują tak, jak ich starsi koledzy, dążąc do niej *szlakiem Pogoni*. I oni wierzą niezłomnie, że „in hoc signo vinces”, bo zwycięstwo przyjsć musi.

Tak więc stwierdzić możemy, iż poezja białoruska, tworzona zarówno na Zachodzie, jak i na Wschodzie, niezależnie od głębokich różnic ustrojowych tu i tam, niezależnie od panujących po obu stronach kordonu, a tak różnych wpływów kulturalnych, jest *całkowicie przesąknięta ideologią niepodległościową*. I inaczej stać się nie mogło: zbyt jasną, zbyt olśniewającą jest idea własnego państwa niepodległego, by to, w co wierzy i do czego zdąża całe świadome narodowo społeczeństwo białoruskie, nie przemówiło do dusz i serc najwrażliwszej cząstki narodu — jego poetów. Tak było w Polsce poroborowej, gdzie twórczość poetów odegrała tak potężną rolę w walce o niepodległość. Tak być musi i w każdym narodzie żywym, któremu przyświeca ideał wolności. I dopóki naród białoruski żyć będzie, ideał niepodległości będzie tem, co ludzi różnych, częstokroć wręcz wrogich sobie wzajem kierunków politycznych i społecznych w jedno narodowe społeczeństwo zespała.

Antoni Nowina.

Z mego notatnika.

Za kulisami.

Beczkowicz, Beczkowicz, Beczkowiczowi, o Beczkowiczu — taką deklinacją wypełniał swe kolumny przez cały tydzień przeszło nasz wileński „niezależny organ demokratyczny” w związku z wyjazdem z Wilna dotychczasowego wojewody p. Z. Beczkowicza, powołanego — jak się wyraził jeden z mówców na pożegnalnym bankiecie — *„wołą marszałka Piłsudskiego”* na stanowisko posła polskiego w Rydze. Nawiasem mówiąc sądziłem dotąd, że nomi-

nacje w zakresie administracji i dyplomacji nie należą do kompetencji ministra wojny, ale oczywiście byłem w błędzie. Bezwątpienia ów mówca, jak również „Kurjer Wileński”, który użył parokrotnie tego samego zwrotu, są lepiej poinformowani.

Mniejsza jednak o to, czyja wola zdecydowała o odwołaniu wojewody Beczkowicza z Wilna. Faktem jest, że po półtorarocznym pobycie na tem stanowisku p. Beczkowicz zmuszony był je opuścić. Co zdziałał przez ten czas, jakie zasługi położył dla miasta i kraju, czem się odznaczył? Z wywiadu, zamieszczonego na czele Nr. 5 „Włóczęgi” dowiadujemy się, że były wojewoda wileński nie zdążył uczynić nic pozytywnego, gdyż zajęty był dopiero gruntownem badaniem miejscowych stosunków i warunków. A jeżeli tak, to czemu należy przypisać te wszystkie objawy hołdu i żalu, jakich nie szczędziła odjeżdżającemu wielkorządcy wileńska „niezależna opinia demokratyczna”?

Aby zrozumieć to niepojęte dla zwykłego śmiertelnika manifestowanie swych gorących uczuć względem przeciętnego administratora przez „niezależnych demokratów” czyli sanatorów zgrupowanych przy „Kurjerze Wileńskim”, wypada zajrzeć za kulisy obozu rządzącego. I wówczas jeszcze nie łatwo będzie zorjentować się przygodnemu obserwatorowi w misternej sieci krzyżujących się ścieżek, wciąż na nowo udeptywanych przez ambicję, intrygę i interes osobisty lub koteryjny. Ale demonstracyjna odmowa prezydenta miasta wzięcia udziału w pożegnalnych uroczystościach i ostra admonicja pod jego adresem ze strony „Kurjera Wil.” nie będą wtedy przynajmniej wywoływały takiego powszechnego wśród niewtajemniczonego ogółu zdumienia.

Dotychczas było tylko wiadomo, że w łonie B. B. — zwłaszcza na naszym gruncie — istnieją silne tarcia pomiędzy konserwatywną prawicą, reprezentowaną przez „Słowo” a rekrutującą się z dawnych demokratów lewicą, której wyrazicielem jest „Kurjer Wileński”. Podobno w ostatnich czasach powstała jeszcze trzecia grupa, nie posiadająca wyraźnego oblicza przekonaniowego, lecz mająca daleko sięgające aspiracje do odegrywania przodującej roli w miejscowym ruchu sanacyjnym. Podobno przewodzą tej klice dwaj posłowie, z których jednego ostro

autor za najbardziej zbliżony do języka polskiego. Powiada on: „Język białoruski jest także silnym ogniwem, co naród ten z nami ściślej niż z Moskwą jednoczy; nie tak jedyny jak naszych Ukraińców, mniej statarszczony niż mieszkańców Moskwy lub Kazania, nietyle ciekawny co Galicyjski, ma wszakże swoją oryginalną narodową cechę, która go od tych wszystkich, znacznie odróżnia, a przez to samo, jak mi się zdaje, najwięcej do polskiego przybliża”⁵⁾.

Inni przedstawiciele szkoły białoruskiej stoją na zupełnie innym stanowisku, aniżeli Rypiński. Pierwszym takim autorem szkoły białoruskiej, który mniej więcej jasno się wypowiedział na temat uprawianej przez siebie twórczości krajowej, był Jan Czeczot. Uwagi swe zamieścił we wstępach do swoich „*Piosenek wieśniaczych*”. Już we wstępie do pierwszego tomiku „*Piosenek wieśniaczych*” z r. 1837 Czeczot ubolewa nad obojętnością ogółu w stosunku do białoruskiej poezji ludowej, upatrując w niej dużo

„niewymuszonej i świeżej poezji”. Mówi Czeczot: „Wiele się nauczymy w poznawaniu ich (włóścian białoruskich) stanu i usposobienia; znajdziemy w nich podania, bajki, powieści i najobfitsze będzie żniwo piosenek, dających poznać ich tkliwe, piękne, delikatne nawet i głębokie uczucia”⁶⁾. We wstępie do zbioru trzeciego z r. 1840, obok niektórych uwag, poczynionych nad białoruskimi pieśniami ludowymi oraz nad sposobem ich zapisywania, ubolewa autor nad plagą pijaństwa u włóścian, które jest źródłem wszelkiego zła na wsi. To też, gdy w przedmowie do zbioru pierwszego pragnął przyczynić się do zachowania starych obrzędów oraz nawiązania sympatii pomiędzy chłopem a panem, obecnie dodaje do tego chęć, ażeby piosnki te przyczyniły się do wykorzenia pijaństwa.

(D. C. N.).

⁵⁾ Str. 21.

⁶⁾ „Piosnki wieśniacze z nad Niemna”, Wilno 1837, str. V.

zaatakował dr. S. Wysłouch w ostatnim numerze „Włóczęgi”, a z drugim bezskutecznie walczy Rada Miejska, chcąc, lecz nie mogąc się go pozbyć. Dla obrony swych interesów grupa ta założyła i wydaje od N. Roku dwutygodnik p. t. „Odsiecz Wileńska”.

Antagonizm pomiędzy powyższymi trzema odłamami B. B. jest tak silny, że raz poraż ujawnia się nazewnątrz. A najbardziej wyraźnie się zaznaczył właśnie przy odjeździe wojewody Beczkowicza. Sądząc z przesadnej czolobitności „Kurjera Wil.”, powściągliwego stanowiska „Słowa” i jawnie lekceważącej postawy przedstawicieli owej nowopowstałej trzeciej grupy, należy przypuszczać, że p. Beczkowicz pozostawał w bliskich stosunkach z „demokratami” i był przez nich gorąco popierany, natomiast nie cieszył się względami pozostałych dwóch koteryj. Co prawda nie jest również tajemnicą, że p. Beczkowicza, gdy był wojewodą nowogródzkim, łączyły węzły zażyłości z wpływowym na tamtejszym gruncie „Związkiem Osadników”, a znów osadnicy i wileńscy „demokraci” z pod znaku „Kurjera Wil.” nigdy ku sobie sympatją nie pałali. Ale tu już dochodzimy do tak głęboko ukrytych sprężyn w skomplikowanym mechanizmie sanacyjnym, że zbadanie ich staje się niemożliwością.

Poruszające je druty ciągną się aż do Warszawy, a i tam — jak mówią świadkami rzeczy — nie łatwo dostrzec, czyje ręce wprowadzają je w ruch.

Zresztą nie dobrze być zanadto ciekawym...

Licz.

Hajze na Albertyn!

Od jednego z „pilnych czytelników „Słowa”, jak autor sam siebie określa, otrzymujemy następujące, utrzymane w tonie ironicznym uwagi.
(Red.)

Kampanja prasowa przeciwko akcji unijnej a właściwie przeciwko gałęzi wschodniej zakonu oo. jezuitów, osiąga już szczyty nieuczciwości, a jednocześnie pewnej prymitywnej humorystyki.

Oto parę próbek.

P. W. Charkiewicz w „Słowie” wprost insynuuje, że w nowicjacie jezuickim w Albertynie i w Seminarjum Papieskim w Dubnie może się wychowują agenci nie już *pro Russia*, ale *pro Bolszewja*. Za podstawę do tej insynuacji, czy, jak on pisze, do niepokoju społeczeństwa polskiego, służy mu fakt aresztowania jednego kleryka Ukraińca w Albertynie.

Jak się rzecz miała z owym klerikiem? W okresie pacyfikacji Galicji Wschodniej był istotnie aresztowany w nowicjacie albertyńskim młodzieniec pochodzenia ukraińskiego. Prędko wypuszczono go na wolność i wystawiono mu poświadczenie, iż uwięziony był bez podstawy, przez jakieś nieporozumienie. Oświadczenie to było ogłoszone w dziennikach. Całą sprawę wyjaśnił dokładnie o. superior Piątkiewicz w broszurze „Prawda o Albertynie”. Broszurę tę p. Charkiewicz czytał, bo z nią w „Słowie” polemizował. Pomimo wszystko powołuje się na owo aresztowanie Ukraińca, żeby poprzeć swoją wstrętą insynuację. Czy w nieuczciwości dziennikarskiej można jeszcze zrobić krok dalej?

*

W związku ze swoją insynuacją p. Charkiewicz pisze: „Czy mamy pojęcie o tem, jak wyglądają alumni obrządku wschodniego, przyszli apostołowie

neo-unji?.. Państwo polskie, naród polski, o wszystkim wiedzieć jednak muszą”. Słowem, p. Charkiewicz proponuje jakąś publiczną kontrolę nad nowicjatem w Albertynie i nad Papieskim Seminarjum w Dubnie. W epoce wszelakich etatyzmów propozycja jest zrozumiała. Tylko jak tę kontrolę urządzić? Nawet wielki prawodawca „statolatryi” Benito nie znalazł na to jeszcze środka. Ale zapewne p. Charkiewiczowi przypominają się wzory rosyjskie. Naprzykład możnaby do Albertyna, jak w r. 1893 do seminarjum w Kielcach, wtrzyknąć szpiega w roli alumna. Mogłoby w ostateczności, jak to było w Kielcach, od wewnątrz podpalić to gniazdo „niebezpiecznej dla państwa” roboty. W Dubnie możeby się dało zaustalować specjalnego inspektora, w rodzaju tych, jakich rząd rosyjski usiłował narzucić seminarjom katolickim. Miałby śliczny tytuł: *prawitielstwiennyj inspietor papskoj sieminarii*. Od biedy przełożyłoby się na to polskie: „rządowy wychowawca alumnów papieskich”. W czasie bezrobocia inteligencji kandydatów na taką posadę nie zabraknie. Pewnych nazwisk mógłby dostarczyć sam p. Charkiewicz. Czy odżegnywa się p. Charkiewicz od tych pomysłów? Jeśli tak, niechaj wskaże inne sposoby rozciągnięcia kontroli publicznej nad temi katolickimi zakładami wychowawczymi.

*

Do drugiego przeciwnika akcji unijnej, p. Wł. Jeśmana, zgłosił się znany sekciarz Faron, zapraszając go na patrona dla swojego „Kościoła Narodowego”, który mógłby być przeciwagą akcji „pro Russia”. Zaproszenie to p. Wł. Jeśman odrzucił, co mu się bardzo chwali. Przytem jednak domaga się stanowczo zlikwidowania Albertyna, jako przyczyny wywołującej takie oferty. Odnośny artykuł swój w „Słowie” p. Jeśman kończy następującym zwierzeniem: „Do mnie już parokrotnie zwracano się z propozycjami zwoływania wieców protestacyjnych, składania petycyj władzom administracyjnym, a nawet użycia wszelkich środków przemocy do zrobienia najazdu na Albertyn i wywiezienia oo. jezuitów za granicę powiatu”. Nie dodaje czy ostatnią propozycję *a limine* odrzucił, czy też tylko pozostawił rzecz na później. Sądząc z tego, że autorów propozycji nazywa pobłażliwie „ludźmi impulsywnymi i energicznymi”, możnaby podejrzewać, że propozycja najazdu na Albertyn nie wydała mu się wręcz niemożliwą. Mogła nawet polećtać p. Jeśmana jako dowód zaufania do jego zdolności dowódczych. Ofiarują mi, panie tego, buławę...

Zresztą możliwe są jeszcze dwa inne przypuszczenia. Pierwsze, że p. Jeśman tę propozycję sam zmyślił, żeby nastraszyć jezuitów albertyńskich. Przy innej supozycji, że ktoś zaproponował p. Jeśmanowi, by stanął na czele wyprawy na Albertyn, mógł to być żart kapitalny, jako kropka nad *i*, nad zacieźrzeniem, z którym p. Jeśman zwalcza akcję unijną. Humor tego żartu zawiera się po pierwsze w tem, że proponuje się nowy „zajazd na Litwie” w 130 lat po „ostatnim” zajeździe z „Pana Tadeusza”. Powtóre, że rolę Horeszki miałby objąć p. Jeśman, przed kilku laty jeszcze wojewoda nowogródzki, zatem przedstawiciel w województwie majestatu Rzeczypospolitej i urzędowy stróż pokoju i bezpieczeństwa publicznego. Po trzecie, humor żartu wynika ze stosunku powodzenia wyprawy do potrzebnego w niej ryzyka rycerskiego: wyprawa musiałaby się udać, bo byłaby dokonana na kilkunastu bezbronnych mnichów. Czy p. Jeśman nie

wyczuł całego humoru tej propozycji, jeśli istotnie ktoś się z nią do niego zwrócił? Jeśli tak, to zaiste starszylacheckiej fantazji p. Jeśmana, takiej z czasów saskich, nie dorównywa jego domysłność.

P. P.

Bibliografia.

Mykolaitis-Putinas. „*Altorių šešėly*”. T. I ir II. Kaunas 1932—1933.

Zima obecna w ruchu wydawniczym Niepodległej Litwy zaznaczyła się między innymi ukazaniem się powieści z życia duchowieństwa katolickiego w Litwie p.t. „W cieniu ołtarza”, która wyszła z pod pióra ks. Mykolaitisa - Putinasa. Pierwszorzędny ten poeta litewski, dzierżący dziś lutnię po litewskim Bekwarku Majronisie, debiutuje obecnie jako powieściopisarz. I nie jest to jakaś powieść krótka, a skłębiona naprędce, dla wypróbowania tylko pióra w innym rodzaju twórczości literackiej. Całość jest zakrojona na trzy tomy o przeszło 400 str. każdy, z których dwa pierwsze ukazały się kolejno, w kilkotygodniowym odstępie czasu, przed Bożym Narodzeniem i po Nowym Roku, a trzeci wyjdzie dopiero na jesieni roku bieżącego, bo poważna choroba wytrąciła autorowi na czas pewien pióro z ręki.

Pierwszy tom swej powieści projektował autor nazwać *Introibo ad altare Dei*, atoli o wiele odpowiedniejszą dlań nazwą byłoby *Confiteor* albo *Confessiones*, na wzór św. Augustyna lub, jeżeli tu można porównać, Emila Rousseau. Wzmiankowana powieść, od pierwszej niemal chwili ukazania się, stała się nowością sensacyjną, gdyż autor opowiada i opisuje w osobie Wasarisa, cały sześćoletni swój pobyt w sejneńskim seminarjum duchownym, swe stosunki z kolegami, ze zwierzchnością seminaryjną, a wśród niej figuruje ks. prof. Mazurkiewicz lub, jeżeli kto woli, Mazurkowski, pod jakim nazwiskiem znajdujemy tu przejrzystą sylwetę obecnego ks. arcybiskupa wileńskiego. Poza tem czytelnik znajdzie w tej powieści postacie rodziców i krewnych autora, wiejskie duchowieństwo litewskie, proboszczów i wikariuszów oraz inteligentną młodzież świecką obojga płci. Na tem tle inteligentna panienka, siostrzenica proboszcza, staje się dla alumna Wasarisa pokusą, usiłującą wywabić go z murów seminarjum. W sercu młodzieńca powstaje ku młodej Litwinie sympatja, która stopniowo rośnie i rozwija się. Ta okoliczność daje możność autorowi wypowiedzieć wiele trafnych a oryginalnych uwag o życiu i wychowaniu naszej duchownej młodzieży, o rutynie i zacofanych metodach wykładów profesorskich w seminarjach. Osobny ustęp poświęcony jest rozwiązywaniu zarzutów, t.zw. kazuśców, z teologii moralnej. Otóż profesor teologii moralnej urzęduje w auli wykładowej fikcyjną spowiedź zaczynającą od grzechu: *osculor Titiam* (pocałowałem Tycję). Wyrwany z audytorjum kleryk ma zadawać pseudopenitentowi rozmaite pytania dla wyświetlenia rodzaju grzechu, jego ciężkości, liczby etc. Kawał to arcyzabawny i czytelników świeckich wprawi w dobry humor, lecz wywoła w niejednym z nich uzasadnioną wątpliwość co do użyteczności i racjonalności tego rodzaju ćwiczeń z teologii moralnej, tej najbardziej się opóźniającej gałęzi wiedzy teologicznej.

Na życie duchowieństwa wiejskiego w Litwie

autor zapatruje się dosyć krytycznie, określając znanych mu kapłanów, jako przeciętnych sobie księży, żółków ani dobrych, ani bardzo złych. Zato o dygnitarzach duchownych odzywa się z humorem dosyć uszczypliwym. Gdy ojciec jednego z alumnów, wieśniak, zapytuje naiwnie przybytego doń w gościnę proboszcza: „Pewnie, aby osiągnąć godność prałata, potrzeba wielkiej nauki?” — zagadnięty odpowiada zbyt już rubasznie: „Mylisz się, bratku. Na to wcale nie potrzeba ani nauki wielkiej, ani zasług szczególnych. Jest to nic więcej, jeno szczególna łaska boża. Gdy P. Bóg po dłuższym przyglądaniu się ziemi, poczuje potrzebę..., wówczas na kogo padnie ta boska..., ten zostaje prałatem” (nadmiernie dosadne wyrazy opuszczamy).

Tom pierwszy powieści czyta się z wielkim zainteresowaniem się losami młodego kleryka, zbliżającego się coraz bardziej ku ołtarzowi. Dużo tu głębokiego zrozumienia psychologii kleryckiej, duża też znajomość i serca kobiecego i strategii niewieściej. A styl, styl — prawdziwie zachwycający.

Tom drugi nie ustępuje pierwszemu. Za *motto* doń służy słowa ze znanej modlitwy *Quia peccavi nimis*, lecz wbrew tym słowom, dalsze grzechy wyświęconego już ks. Wasarisa nie są tak znowu wielkie, jak się mógł ten lub ów spodziewać. Conto grzechowe zostało obciążone wszystkiego paru pocałunkami z otrzaskaną w rzeczach miłosnych baronową von Reinecke. Zresztą cały ten flirt (na nazwę romansu właściwie on jeszcze nie zasługuje) zajmuje w powieści miejsce tylko podrzędne. Na pierwszym miejscu w drugim tomie powieści stoi sam opis życia młodego neoprezbitra na parafji, jego pierwsze kroki w pracy duszpasterskiej w kościele, jego stosunki z proboszczem i kolegą wikarym, ze służbą kościelną i parafjanami, oraz osobiste stosunki ks. Wasarisa z pobliskim dworem polskim. Z duchowieństwa obszerniej scharakteryzowany jest proboszcz ks. Płotunas, typ księdza rolnika i budowniczego i drugi typ społecznika ks. Stripaitisa, wciąż zajętego sklepem spółdzielczym. Obok nich autor nakreślił sylwetkę dwóch księży, kapłanów, jak się to mówi, według serca Bożego, o zacięciu apostołskim. Tymi są *tėvėlukas* Szławenski i wikary tameczny ks. Ramutis, obaj pełni ducha ewangelicznego i prawdziwi asceci.

Akcja powieściowa w drugim tomie doprowadzona jest do wybuchu wojny wszechświatowej. Czem się wszystko zakończy w oczekiwanym tomie trzecim, dziś jeszcze odgadnąć trudno. Książkę czyta się z wielkim zaciekawieniem, a tom drugi pod tym względem dorównywa pierwszemu. Niemal i w tym II-gim tomie spostrzeżeń trafnych, myśli ciekawych. Autor potrąca wciąż o niejedną aktualną dla duchowieństwa kwestję. Może ktoś się niektórymi ustępami zgorszyć, lecz będzie to poważnie *scandalum pbarisaicum*.

Rec.

Odpowiedzi Redakcji.

Stałemu czytelnikowi. Zgodz. s. p. prof. Kłosa pominiemy milczeniem w myśl zasady: *de mortuis aut bene aut nihil*.